

Arboretum duszy mojej

O znanym w Niemczech rzeźbiarzu polskim Janie de Weryha – Wysoczańskim

Ci, którzy oglądają po raz pierwszy jego prace, zastanawiają się skąd tyle pomysłów i tyle możliwości twórczych. Bezmierna wydaje się także skala idei i konceptów. Zdziwio ekspresja obiektów, wykonanych tylko i jedynie w drewnie, odwołujących się do natury i życia.

Dziesiątki wystaw, katalogów, setki artykułów w polskiej i niemieckiej prasie, polskie prace magisterskie, ekspozycje w naszych muzeach są świadectwem niezwyklej kariery artysty, który ma w sobie upór i determinację samego Odyseusza z homeryckiej epopei. Jego dzieła są zarówno dla Niemców jak i Polaków punktem odniesienia do przemysłu nad istotą człowieczeństwa, wartości i siły, europejskiej jedności i wspólnoty ludzkich celów i ideałów.

Siła epatuje z rzeźb i instalacji, które wyeksponowane w wielkich przestrzeniach zdają się mówić prawdę, jakich w codzienności sobie nie uświadamiamy. Tak więc zdumienie jest tą pierwszą reakcją, jaka towarzyszy każdej wystawie gdańskiego artysty zamieszkałego od trzydziestu lat w Hamburgu. Latem 1981 roku, jeszcze przed wybuchem stanu wojennego, Jan de Weryha-Wysoczański, absolwent Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Gdańsku (był uczniem profesorów: Alfreda Wiśniewskiego i Adama Smolany) opuścił wraz z rodziną Trójmiasto i wyruszył na Zachód.

Była to trudna, nawet rozpaczliwa decyzja. Wiodło mu się nie najgorzej, miał stałe zamówienia, nawet niezłe pieniądze. To co wykonywał: statuetki, małe formy, medale nie dawały możliwości pełnej wypowiedzi artystycznej. Do tego sytuacja polityczna; atmosfera w środowisku twórców, w szkołach także była dla artysty i jego żony, młodej polonistki, przytłaczająca, niekiedy nieznośna nawet. Emigracja do Niemiec oznaczała konieczność zbudowania od nowa artystycznej i zawodowej egzystencji. Start dla obojga był trudny.

Artysta potrzebuje spokoju, natchnienia, wyciszenia, nie biegania po urzędach, szukania lokum, nowych przyjaciół i możliwości zarobku. Wysoczański wiedział, że utrzymanie rodziny w nowej, tej dostalniej i tak nowoczesnej rzeczywistości nie będzie wcale łatwe. Dobrze wiedział i to, że sztuka nie znosi kompromisów, wymaga wierności i oddania. Ten rozłam w duszy artysty jednych zabija, innych promuje. To zależy od otoczenia i charakteru. Wysoczańscy zawsze mieli szczęście do ludzi. Ich kultura, obyczaje, nienaganne maniery, przede wszystkim zaś wiedza, ambicje, wrażliwość i ciekawość świata, sylutowały ich pośród żywciliwych. Tacy wychodzili Polakom na przeciw. I jeszcze coś takiego, jak hamburskie Deutsch – Polnische Gesellschaft z Aleksandrą Jeszke Zillmer na czele i grupą otwartych, przyjaznych osób. Nawet w najtrudniejszych momentach płynęła stamtąd życzliwa rada i pomoc. Także Polska Misja Katolicka brała pod swe skrzydła tych najbardziej zagubionych i osamotnionych, intelektualistów rzuconych na obczyźnie.

Tak więc ci wykształceni, z dyplomami, po dobrych polskich uczelniach odnajdywali się i nawiązywali kontakty. Najszybciej lekarze. Do nich dołączali architekci, prawnicy, artyści, pedagodzy, a także ci z biznesu, którym pieniądze rozmaite dyktowały fantazje i fanaberie.

Jan de Weryha-Wysoczański nie mógł usiedzieć w miejscu. Gnało go po galeriach, muzeach, po wernisażach na których niemieccy koledzy prezentowali swe osiągnięcia. O jednym marzył bez ustanku: o własnej pracowni. Miał ją w Gdańsku, więc dlaczego nie miałby jej mieć w Hamburgu?

Kiedy w domu, dla przyjaciół zorganizował pierwszą wystawę, utwierdził się w przekonaniu, że... jest po co żyć... że twórczość

